



# PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

## Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

## Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

## Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.  
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## CHMURA (The Cloud)

SHELLEY'A

przekład El...y'ego.

### I.

Świeże ulewy  
Na spragnione krzewy  
Przynoszę z morza lub rzeki;  
Dostarczam cieniu  
Listkom, co w znużeniu  
Wśród dziennej spoczęły spieki.

Na skrzydłach niosę  
I otrząsam rosę,  
Budząc tłum pączków uroczy,—  
Śpiące gromadki  
Na piersiach swej matki,  
Co wkoło słońca się toczy.

Gradami zionę:  
I łaki zielone  
Pokrywam białym całunem;  
W deszcz je przemienię  
I mknąc znów w przestrzenie,  
Znów się uśmiechnę piorunem.

### II.

Śniegiem zawieję  
Gór lesiste knieje,  
Aż sosny gną się i dyszą,  
I na noc całą  
Mam poduszkę białą,  
Gdy wichry śpiącą kołyszą.

W górze, u szczytu  
Mej wieży z błękitu,  
Tam błyskawica ster trzyma!  
W otchłani, w dole,  
Grom wzięty w niewolę  
Z swych więzów rwie się i żżyma.

Z lądów na morza  
Wiedzie mnie przestworza  
Ten mój przewodnik ognisty,  
Co rozkochany  
W duchach mgły i piany  
Ściga je w toni falistej.

Wszędzie on z niemi  
Na niebie i ziemi  
Brata się jawnie lub skrycie,  
Słąc im z przestrzeni  
Swoją całość z płomieni,  
Gdy ja się grzeję w błękiecie.

### III.

Gdy w krwawej zorzy  
Wschód oczy otworzy,

Zgasiwszy gwiazdy już senne...  
Wskakuje nagle  
Na me wzdęte żagle,  
Roztacza pióra płomienne,—

Jak orzeł, który  
Gdzieś na zrebie góry,  
Co nad przepaścią się chwieje,  
Zawisłszy w locie,  
Przez kilka chwil w zlocie  
Otwartych skrzydeł jaśnieje.

A gdy znad morza  
Tchnie zachodu zorza  
Ciszą, miłością, rozkoszą;  
Gdy płaszcz z purpury  
Pada na dół z góry  
A z dołu cienie się wznoszą:

Ja skrzydła złożę  
W błękitów przestworze,  
Piór szarych pochowam rąbki,  
I w gniazdko mroczne  
Uleciawszy, spocznę  
Naksztalt drzemiącej gołąbki.

### IV.

Ta srebrzysto-lica  
Błękitów dziewica,  
Zwana księżycem na ziemi,  
Połyskując, sunie  
Po mem wiotkiem runie,  
Wzdętem powiewy nocnemi,



A gdzie w mym namiocie  
W cichym stóp swych locie,  
Co słyszą tylko anioły,  
Przerwie tkanę cienką,—  
Zaraz przez okienko  
Tłum gwiazd przegląda wesoly.

Ja, widząc, jak chyże  
Przelatują w wirze  
Niby złocistych pszczoł roje,  
Z uśmiechem rozwine  
Namiotu szczelinę—  
Aż morza, jeziora, zdroje,  
Jak strzępki błękitu  
Stracone ze szczytu,  
W księżyc i gwiazdy przystroje.

## V.

Ja owijam słońce  
W wstęgi gorejące,  
Księżyc—w przepaski tęcz sine;  
Wulkany się mroczą,  
Gwiazdy drżą, migoczą,  
Gdy ja swój sztandar rozwine.

Z ładu na ład śmieje  
Pomostem się ściele  
Przez morz wzburzone obszary;  
Nie puszczam promieni  
Przez mój dach w przestrzeni  
Oparty o gór filary.

Tryumfalna brama,  
Co powstaje sama  
Na me zwyciężkie przybycie,  
Gdy z burzą i gromem  
Krocę nad poziomem—  
To tęczy barwne odbicie.

Słońca glob ognisty  
Tka jej wzór przejrzysty  
I łuk świetlany napina,  
Podczas gdy zroszona,  
Łzy strząsając z łona,  
Śmiać się znów ziemia pocyna.

## VI.

Duchy wód i ziemi  
Rodzicami memi,  
Piastunką—przestrzeń powietrzna;  
Przenikam w obieg  
Tkań morza i brzegu,  
Wciąż zmienna a jednak wieczna.

Choć z deszczową rosą  
Wiatry mnie rozniosą  
I w górze istnieć przestanę;—  
Choć słońca promienie  
Błękitów sklepienie  
Bez skaz utkają świetlane:

Ja z swego pogrzebu  
Wzlatuję ku niebu  
Z jaskini deszczów ukrytej;  
Jak duch z grobu łona,  
Nowo-narodzona  
Przesłaniam znowu błękity.

## POGA WĘDKA.

Zaduszki przeszły w tym roku owiele przykładniej, niż lat poprzednich; przez dwa dni tłumy ludzi odwiedzały Powązki i nowy cmentarz na Brudnie, który dał przytułek już około 5.000 nieboszczykom i pozyskał własną kaplicę, poświęconą przed dwoma tygodniami.

Jakiś poważniejszy nastrój panował wśród tłumów kilkudziesięciotysięcznych, które niosły na groby swoich ukochanych wieńce, kwiaty, światło i modlitwę „za dusze zmarłych.“

Rzecz szczególna, nie potrzebowano uprzątać pijaków, nie schwyciono ani jednego złodzieja, żebractwo nie biło się i nie hałasowało, wydzierając sobie jałmużnę. Wszystko przeszło w porządku należyty.

Nawet niebo nie zepsuło harmonii, nie było ani zapogodnem, ani zamelancholijnem w święto grobów, jakkolwiek zaspę zimową nosiło już w zanadru.

Słyszałem o projekcie założenia towarzystwa opieki nad cmentarzami, który się urodził wśród mogił; byłoby to dobrem i potrzebnem. Na Powązkach tak często widuje się opuszczone i zaniedbane groby lub zruinowane pomniki; niedawno w pismach publicznie domagano się uporządkowania grobowca Malczeskiego, który chylił się ku upadkowi. Wiele innych potrzebowałyby podparcia, odnowienia, zabezpieczenia przed niszczącą ręką czasu. Na Brudnie świeżo mogiły wymagają odarniowania, bo wiatr wygładza kopce piaszczyste i zrównywa je z ziemią. Przydałaby się tedy opieka staranniejsza, a zbiorowemi siłami łatwiej możnaby ją utworzyć i dłużej utrzymać.

Czyście widzieli kiedy coś bardziej smutnego, nad grób zapomniany i opuszczony? Każdy cmentarz ma takie groby — sieroty, godne litości, wyczekujące zmiłowania ludzkiego.

Gdyby powstało projektowane towarzystwo opieki nad cmentarzami, wniosłbym jako pierwszy punkt działalności jego: upamiętnienie nazwisk znakomych nieboszczyków, z których grobu ślad nawet nie pozostał na Powązkach. Niechajby chociaż skromna tablica w katakumbach przypominała potomnym, że w nich w roku 1812-m spoczęły prochy Hugona Kołłątaja, bez napisu, bez nagrobka, po którymby poznać można, gdzie te śmiertelne szczątki złożone zostały. Zapodziała się w tensam sposób mogiła autora „Maryi,“ ale przynajmniej kamień grobowy, wystawiony przez przyjaciół i wielbicieli talentu Malczeskiego, przechował jego imię ku wiecznej czci i pamięci.

W pobliżu kościółka cmentarnego o kilka kroków od zakrystyi, w miejscu, którego dzisiaj przechodzi droga w głąb cmentarza, spoczywają prochy wiekopomych ludzi, jak Kazimierza Świrskiego, poety i kapłana, Stanisława Konarskiego najznakomitszego z polskich Pijarów, postaci pięknej, posagowej i tak zasłużonej w dziejach naszej oświaty, oraz ucznia jego i znakomitego gramatyka Onufrego Kopczyńskiego, którego przed śmiercią uczczono złotym medalem, a po śmierci pozwolono, aby wraz z innemi grobami zasłużonych mężów tej epoki, mogiłę jego wdeptano w ziemię bez śladu.

We wspólnym grobie nędzarzy lat temu kilka pochowano zwłoki nieszczęsnego rozbitego i poety, Karola Pieńkowskiego, a iluż jeszcze pokrzywdziła ludzka niepamięć!...

Czyż nienależałoby się im spłacić choć spóźnionego długu i zanotować, przynajmniej na cmentarnym murze, nazwisk, przy czytaniu których przechodzień odsłoniłby głowę i westchnął: „Wieczne odpoczywanie!...“

Prawda, że zadużo mamy jeszcze troski i kłopotu z żywymi, a nie możemy i tak wszystkich obowiązków względem nich dobrze wypełnić; jednak to nie racya, aby zupełnie zapominać o umarłych, którym się cześć nasza i wdzięczna pamięć należy.

Od mogiły do kołyski przejście nie tak trudne, jakby się wydawało, chociaż łatwiejsze z kołyski do grobu. To mi pozwala zmienić odrazu temat i, wyszedłszy z cmentarza, zejść do instytucji, która w ciągu trzech lat swojego istnienia umniejszała liczbę ofiar „powiększających grono aniołków“ i kilkuset biednym dzieciom dała przytułek, pożywienie i zapewniła opiekę po urodzeniu. Domysłacie się, że chcę mówić o „Macierzyństwie“, czyli zacnem stowarzyszeniu opiekunek nad ubogimi matkami, oraz ich dziećmi.

W tych czasach właśnie towarzystwo to wydało swoje roczne sprawozdanie; warto je przeczytać, aby się dowiedzieć z niego o działalności młodej, ale praktycznej i pożytecznej instytucji, która cichą ofiarnością zdołała osiągnąć uznania godne wyniki, ważne pod względem humanitarnym i filantropijnym.

Oto liczby najkorzystniej świadczą o troskliwości naszych dobroczynnych „matek“. Dały one przytułek w krytycznej chwili 3 ubogim położnicom od czasu założenia zakładu, zdołały umieścić półtora sta przeszło dzieci na wsi u mamek, łożąc na kosztę wykarmienia tego biedactwa, któreby zmarniało gdzieś na bruku miejskim, lub w ostatniej nędzy z braku pierwszych potrzeb do życia; zdołało wreszcie zebrać przeszło 14.000 rs. żelaznego funduszu i z remanentem wcale znacznym, bo wynoszącym około 12.000 rs. zamknęło bilans zeszłego roku.

Towarzystwo wyrobiło sobie dobrą opinią i umiało pozyskać sympatyę dla swoich celów; obecnie liczy już 22 członków założycieli 432 członków rzeczywistych, a jest nadzieja, że ta lista przedłużać się będzie z każdym rokiem, zarząd bowiem równie energicznie zajmuje się wewnętrzniemi sprawami utrzymywanego przez siebie przytułku, jak i agitacją w interesie towarzystwa nazewnątr.

Szczególniejszego zaś uznania godną działalność rozwija około umoralnienia matek, które przychodzą zgłaszać się o pomoc i ratunek; większość ich zbacza z drogi prostej i nie zdaje sobie dobrze sprawy z popełnionego błędu, którego ofiarą padłoby niewinne ich dziecko. Otóż przez rozbudzenie i podtrzymywanie uczuć macierzyńskich w tych zbłąkanych owieczkach zasługuje się towarzystwo więcej może, niż przez samo wykarmienie swych nowonarodzonych wychowanków.

Kiedy jesień ostatnie kwiaty warzyć zaczyna i przygasa słońca promienie, na bruku naszym rozwijać się zwykły kwiat serdeczny, nazwany miłosierdziem, i wschodzą gwiazdy litości, zagładające w mrok ludzkiej duszy i w tajnie serc strapionych.

Zima bywa u nas właściwie sezonem filantropii.

Zaledwie pierwszy śnieżek pobielł dachy, już sprawa głodnych i przeziębionych wchodzi na porządek dzienny. Wspomniałem o projekcie rozdawania obiadów bezpłatnych ubogim, i cieplej strawy podczas mrozów; obecnie dowiaduję się znów, iż tanie kuchnie zamierzają codziennie pewną ilość porcji herbaty gorącej z arakiem lub zupy odstępować głodnym Warszawy. Rozchodziło się tylko o to, czy służba zdoła nadażyć w godzinach przedobiednich i upora się wcześniej z obsługą ubogich stołowników przed napływem zwyczajnych gości.

Jedną z znacznych mieszkanek naszego miasta zakrzętnęła się około projektu dostarczania działwie szkolnej jakiegokolwiek ciepłej strawy, bez której najczęściej ubożsi obywać się muszą.

Jakże często zdarza się spotykać blade, chude mizeractwa, spieszące do szkoły naczecz, obciążone książkami, ze smutnem spojrzeniem zapadłymi oczu, z policzkami bez rumieńca, i ustami bez uśmiechu! Gdybyście pytali o powód takiej smutnej minki, dowiedzielibyście się, że to głód niezaspokojony powleka te drobne twarzyczki takim wyrazem.

Kromka suchego chleba lub bułka z wczorajszej kolacji zastępuje im całe śniadanie, i dopiero po powrocie do domu ze szkoły czeka je ciepła strawa, która dla wielu bywa jedynem gotowanym pożywieniem na cały dzień.

Zagranicą oddawna już ulitowano się nad dolą



głodnych dzieciaków; potworzyły się tam towarzystwa, zebrały fundusze w celu dostarczania posiłku uczniom i uczennicom szkolnym, śpiesząc bez śniadania do nauki. Szklanka ciepłego mleka lub talerz polewki podczas pauzy rozgrzewa słabe dziecięce organizmy i zaspakaja chwilowo głód. Z innym humorem, z zapasem świeżych sił, z większą chęcią i uwagą powracają po takim poczęstunku do książki i słuchają wykładów z większym dla siebie pożytkiem.

Otóż coś podobnego chcą urządzić i u nas, w naszych szkołach i szkołkach, dla ubogich dzieci pozbawionych posiłku w domu, gdzie tak często brakuje chleba kruszyny i łyżki ciepłej strawy. Zajęło się tem poczciwe kobiece serce, które sobie znajdzie więcej współniczek miłosierdzia i dobrego uczynku, a ofiarność publiczna dopomoże i środków potrzebnych dostarczy.

Już to filantropia zdawien dawna zapisuje najpiękniejsze karty w kronikach Warszawy, i kiedyś, gdy się znajdzie historyk, który opowie dzieje naszej dobroczynności publicznej, będzie musiał przyznać syreniemu grodu pierwszyzeństwo do wawrzynowego wienca przed innemi miastami, względnie do warunków i okoliczności, w jakich ten gród dobrze czynić może.

Pocieszającym i zaszczytnym objawem jest również wzmagająca się troskliwość o zdrowie i zapewnienie bytu klas pracujących u nas. Dzienniki nasze zapewniają, że po fabrykach rozpowszechnia się zwyczaj ubezpieczenia robotników od wypadków, jakoteż na życie. Jedna z większych fabryk w Łodzi zaasekurować miała wszystkich swoich „ludzi“, a za jej przykładem mają pójść i inni zamożniejsi chlebodawcy. Prawda, że to powiększa koszt i obciąża budżet, ale zobowiązuje robotników i moralnie wpływa korzystnie na stosunek pracodawców do pracowników, regulując jedną z ważnych i żywotnych kwestyi społecznych w tych właśnie sferach, w których wzajemne zaufanie i wzajemna dbałość o siebie przyczyniają się do utrwalenia pożądanego harmonii, a zarazem do złagodzenia, jeżeli nie do zupełnego usunięcia, spornych punktów, wyzyskiwanych gdzieindziej na korzyść pewnych przewrotnych idei.

Ze strony władz wydane zostały rozporządzenia sanitarne, mające na celu poprawienie higienicznych warunków pracy w fabrykach i większych zakładach przemysłowych. Obowiązkowo zalecono dobrą wentylację w pracowniach i lokalach roboczych, utrzymywanie studzien z wodą zdatną do picia, przestrzeganie czystości i porządków, tak często, niestety, zaniedbywanych, dbałość o zdrowie robotników, oddanych pod opiekę stałego lekarza, któryby wizytował stale fabryki, badał pracujących i udzielał swoich uwag i porady w celach zdrowotnych.

Pięknie to brzmi na papierze, ale piękniej jeszcze wyda się w czynie i w praktycznym zastosowaniu.

Od niedzieli mamy tedy w Muzeum rolniczo-przemysłowym urządzoną wystawę, która tylko o kilka dni spóźniła się z otwarciem, a dlaczego, — wiecie dobrze. Większą część wszystkich wystawców, nietylko u nas, ale na całym świecie rodzi — Guzdraliska; trudno się im też wyguzdrać na oznaczony termin i w ostatniej chwili zdobywają się dopiero na wysiłek energii i pospiechu, który złego nie naprawia.

Wystawa przemysłowa na oko przedstawia się pokaźnie, okazów sporo, wiele zajmujących i ciekawych egzemplarzy, z których część pójdzie do Paryża; przedewszystkiem zaś dla „szerszej“ publiczności są muzykalne popisy, zatem fortepiany i pianina w obłęzieniu, i nigdy chyba u nas talent i sztuka na tle przemysłowym nie miały takiego powodzenia, jak na wystawach muzealnych.

Muzyka stała się przypadkowo niezawodnym wabikiem, jako przystawka do innej rzeczy; sama w sobie niezawsze ma taką moc przyciągającą, a im idealniej się przedstawia, tem mniej ma widoków powodzenia. Nie chcę przez to zniżać wartości popisów „Lutni“, które ściągają tysiączne tłumy słuchaczy, dobijających się na ty-

dzień wprzód o bilety; ale to sukces wyjątkowy, i więcej w nowości efektów niebываłych na estradzie, aniżeli w zamiłowaniu i krytycznem ocenieniu śpiewów chorałnych ze strony naszej publiczności szukać-by należało przyczyn tego niezwykłego zainteresowania się koncertami lutnistów.

Mniejsza o przyczynę, skoro zeszłej Soboty Sale Redutowe nie mogły pomieścić wszystkich słuchaczy. Niewiem, co zawyrokuje mój przysięgły kolega od muzyki, ale co do mnie, wyszedłem z bardzo dodatkiem wrażeniem i z przekonaniem, że towarzystwo śpiewacze rozwija się bezustanku pod względem artystycznym; nasz zbiorowy słowik porasta w pióra, dzisiaj już ma około 80 gardziółek i gardzieli, a do kassy zgartuje coraz większe remanenta.

Gdyby kiedy „Lutni“ przyszła ochota sprawić sobie swój własny futeł, to ma znaczyć, własny domek z dużą salą koncertową, — w takim razie — zdaje mi się przynajmniej, prędzejby się uporała z jego wybudowaniem, aniżeli Towarzystwo Muzyczne, lub Towarzystwo Zachęty do Sztuk Pięknych, jakkolwiek to ostatnie rozporządza już wcale znacznym funduszem w wymienionym celu.

W ciągu bieżącej zimy przybędzie mu jeszcze jeden, i przypuszczalnie znaczny, zasilek: oto tryumwirat młodych i zdolnych malarzy, do spółki z jednym literatem, przygotowują coś zupełnie nowego dla ciekawej publiczności warszawskiej; ma to być rodzaj prelekcji ilustrowanej niknąciami obrazami.

Same chińskie cienie, nie wyłączając prelegenta, przedstawiają się widom na olbrzymim ekranie i w szeregu ruchomych i nieruchomych sylwetek zillustrowują kronikę całoroczną Warszawy, złożoną z wybitniejszych faktów, sensoryjnych wypadków każdego sezonu, bohaterów danej chwili i t. p. Będzie to, na wzór owych *Revue de l'année*, urządzanych w Paryżu, „Przegląd syreniego grodu.“

Dochód z pierwszego widowiska przeznaczają inicjatorzy i wykonawcy, w poczwórnej osobie, na korzyść budowy domu dla towarzystwa zachęty.

Wogóle cały sezon zimowy zapowiada się interesującym dla żądnej wrażeń publiczności warszawskiej; będzie się czemu dziwić i czego słuchać, i czem zajmować; wchodzimy bowiem znów w fazę konkursów i kwestyonaryuszów.

*Kurier Codzienny* co pewien czas postanowił interpellować swych czytelników, a jeszcze bardziej czytelniczki, w rozmaitych kwestiach, niełatwych do rozwiązania.

Oto np. zażądał odpowiedzi na trudne pytanie: „Jak się podobać mężowi?...“ Znalazła się prawie cała setka doradczyń i doświadczonych żon, które streszczały swoje teorie w sposób mniej lub więcej trafny. Przemawiały w nich motywa z fizjologii, gastronomii, gospodarstwa domowego, sensualizmu maskowanego przyzwyczajeniami, dyplomacji i nauki zalotności; mały wyjątek stanowiły poważniejsze, głębsze, na psychologicznem tle czynione uwagi.

Reszta w płytkiej humorystyce lub prozaicznej praktyczności szukała odpowiedzi na pytanie w istocie ważne, choć jednostronne.

Dlaczego bowiem podobać się mężowi ma żona, a nie mąż żonie?... Prus w swojej kronice dowcipnie wytknął tę jednostronność i rozwiązał kwestyę na swój sposób, jak zawsze oryginalny, opowiadając anegdotkę o stumarkówce, która się wszystkim podoba dlatego, że się podobać nikomu nie chce, i że zna swoją wartość.

Byłoby to bardzo trafnem i słusznem, gdyby też i owe żywe stumarkówki nie przeceniały często swojej wartości i nie chciały uchodzić za większy banknot, albo też nie doceniały się na leżycie i nie umiały swej właściwej wartości okazać i stwierdzić. Ileż-to razy szeląg-żona, chce wmówić w męża i świat, że jest dukatem, i ileż razy żona-dukac nie umie się wydać na leżycie, i traktowana jest, jak szeląg?... W jej interesie przeto, w interesie i dobrobycie firmy małżeńskiej leży potrzeba dobrej wzajemnej

oceny, a w owej sztuce przypodobania się mężowi ja widziałbym tylko dążność do okazania mu swej rzeczywistej wartości.

Jakich do tego środków użyć — wskaże miłość, instynkt serca, jeżeli nie rozum i doświadczenie. Prawdziwie dobrą żoną, zniewalającą męża, jeśli nie do miłości, to do szacunku, może być tylko dobra, kochająca i rozumna kobieta.

*Kurier* rzucił nowe pytanie na przynętę, tym razem, pannom: „Jakim sposobem można najłatwiej wyjść za mąż?“

W nagrodę za trafne rozwiązanie przyrzeka redakcyja egzemplarz „Pana Tadeusza“. To bardzo mało; jeszcze żeby ten Pan Tadeusz dostał się laureatce *in persona*, wartoby było suszyć sobie głowę nad rozwiązaniem teoretycznie kwestyi, ale tak!... mój Boże, znam też kilka panien, które za wynalezienie żadanego sposobu zdobycia męża, gotowe są oddać... cały posag i siebie.

Bez porównania poważniejszy kwestyonaryusz w najżywotniejszych sprawach dotyczących kobiety u nas rozesłała w drukowanych egzemplarzach p. Halina Jasińska; zamierza ona wszechstronnie zbadać i opisać stanowisko kobiety u nas na polu handlowo-przemysłowem, gospodarskiem, w służbie rządowej i prywatnej, w dziedzinie literatury i sztuki, — słowem: w rozmaitych zawodach praktycznych i twórczych. Chodzi o to, by poznać warunki, w jakich dzisiaj kobieta nasza na siebie i na swoją rodzinę pracować może i jaki rodzaj pracy zabezpiecza jej najlepiej byt niezależny i widoki na przyszłość.

Niezaprzeczenie, jest to cel i zamiar bardzo szlachetny i wszelkiego poparcia godny; to błędzenie dotąd po omacku, szukanie nowych dróg, zdobywanie w walce o byt chleba kawałka i większych praw na stanowisku społecznej, produkcyjnej, pożytecznej jednostki, wymaga nareszcie racjonalnej, na faktach i doświadczeniach opartej zasady.

Rzeczony kwestyonaryusz ma oddać wielkie i ważne w tym celu usługi; pyta o mnóstwo rzeczy, nawet o drobiazgi, z których możnaby wysnuwać wnioski praktyczne, i rzucić choć jeden nowy promyk światła na sytuację.

Nie potrzeba odpowiadać na wszystkie zapytania z każdego działu: wystarczy dawać informacje, byle dokładne i prawdziwe, w niektórych kwestiach, ale chodzi o to, aby się ich jak najwięcej zebrało; inaczej, i do fałszywych wniosków, i do spaczonych pojęć o stanowisku naszej kobiety będzie musiał doprowadzić referat, w którego opracowaniu przyjmą udział siły zbiorowe.

Co do mnie, twierdzę, że sprawa jest wielkiej wagi, przedsięwzięcie bardzo szlachetne i mogące przynieść wiele korzyści; ale obawiam się: czy zajęty obszar kwestyonaryuszem p. Jasińskiej nie jest za duży, i czy uda się poruszyć tyle piór do odpowiedzi potrzebnych, aby zebrany materiał faktyczny, mógł dać choć w przybliżeniu dokładne pojęcie o stanowisku kobiety na wszystkich polach publicznej i prywatnej u nas działalności...

W każdym razie życzę powodzenia dobrej myśli i dobrym zamiarom.

Quis.

## CZYTANIE RODZINNE.

### II.

Czytanie dzieci i młodzieży niedoroślejszej stanowi wśród czytania rodzinnego dział tak ważny, że go między wpływy wychowawcze zaliczyć trzeba. Każde dziecko, żywszego nieco umysłu, czytać lubi, i jest to wskazówka natury, której zadosyć czynić należy, z tą uwagą przecież, że pierwsze zetknięcie się dziecka z książką jest bardzo wiele znaczącem, nietylko jako kształcenie umysłowe. Czem w praktyce wychowania codziennej jest dobry przykład, tem dla pierw-



wszego skierowania myśli, dla pierwszego skierowania pojęć kielkujących i rozwijania się wyobraźni jest książka. Dziecko odczuwa poswojemu, ale niemniej odczuwa, wrażenia wywarte na jego uczucie i wyobraźnię; obrazy przez książkę mu podawane nie przechodzą też bez skutku: odbijają się one na jego umyśle z temi wpływami dodatnimi, lub ujemnymi, tak, jak na umyśle starszych, jakkolwiek wstępnym odpowiadającym rozwojowi tego umysłu. Pierwsza wiedza o świecie szerszym, niż koło rodzinne, przychodzi dziecku przez książkę i pierwsze ogólniejsze pojęcia moralności przez nią się tam tworzą. Czytanie dzieci nawet najmłodszych, powinno też być starannie dobierane a to pod względem dwójakim. Ponieważ czytanie jest wielką sprężyną oświecania umysłu, wyrobienie zatem w dziecku zamiłowania do książki należy do najważniejszych zadań wychowania. Książka mdła, bezbarwna, książka niebudząca należytego interesu, jest już z tego względu złą, złą bardzo, że nudząca odstręcza od siebie młodego czytelnika, a zadaniem czytania młódcianego są nietylko te wiadomości, które zapomocą książki umysłowi się dostają, ale rozbudzona ciekawość wiedzy i pragnienie zadowalniań jej przez czytanie. Wychowanie, które tego dopnie, uposaży wychowywaną istotę młodą w skarb ceny bardzo wysokiej. Wszystko co stanowi oświecające, umoralniające działanie literatury, tu się mieści; od wielkich nabytków nauki, do rozkoszy artystycznych, jaką nam daje beletrystyka, do rozdmuchania nam w sercu przez poezję iskry zapału i szlachetnych uniesień naszego ducha, które się z tem łączą — wszystko to dostaje nam się przez książkę. — Dać dziecku ulubienie książki, jest to — powtarzam — dać mu wielką dźwignię moralną i otworzyć niewyczerpane źródło przyjemności, używania takich biesiad duchowych, które według skali umysłu swego każdy może dzielić z Platonem. Lecz dlatego książka nudna, co znaczy: książka pisana bez odpowiedniego talentu, — książka od czytania odstręczająca, powinna być w planie wychowania postawiona na indexie książek szkodliwych. Rodzice i wychowawcy powinni tu pilnować się bardzo, być bardzo starannymi w wyborze, a to tem więcej, że literatura dla młodzieży mieści takich książek — bardzo wiele!

Wielu osobom, które z każdą bardzo zdrowo sądzą o rzeczach, zdaje się, że książkę tego działu piśmiennictwa może pisać każdy, posiadający dobrą wolę i chęć literackiego tworzenia. Często nawet zdawać-by się mogło, że to jest chyba obrany sobie rzemieślniczo sposób zajęcia i przy pewnej wprawie pióra, przy pewnym zasobie wiadomości, książki takie piszą się, niekiedy nawet rozchodzą się, bo drugostronnie wielu osobom zdaje się, że dziecko zadowolnić się może byle bajeczką o grzecznych i niegrzecznych jego rówieśnikach, z morałem umieszczonym na końcu. Ale myślą się i myślą bardzo szkodliwie: konwencjonalna nauka moralności żadnego wpływu nie wywrze, jeżeli przedmiot, z którego wypływa, nie zajął, nie pociągnął do siebie umysłu tak żywo, aby rozbudzony i zajęty wprowadził to sobie w myśl, jako materyał do wyrabiających się przekonań.

Trzeba też pamiętać o tem, że jak my nie zawsze chcemy uczyć się przez czytanie, tak podobnie, a nawet owiele więcej dziecko. Czytanie powinno tylko *zawsze* umysł ożywiać i odżywiać, od zastoju go bronić w pewien ruch wprowadzić, co też i przy czytaniu dzieci pilnowaniem być powinno. Pole tu jest tak szerokie jak cały zakres wiedzy, myśli — życia ludzkiego i trzeba tylko, aby pisarz z zasobów tych umiejętnie skorzystał umiał. Podróże, odkrycia, żywoty wielkich ludzi i czyny ich szlachetne, wzory poświęcenia, odwagi, przedsiębiorczości i siły woli, mocy charakteru: to wszystko przedmioty z natury swej nauczające, choć wręcz nauką się nie wykazują — rzeczy, które mogą podnieść wysoko serca i umysły młodych czytelników, nie będąc jednak kazaniem na temat z góry wskazany, a który sprawia jedynie to, że nudząc, od czytania odstrasza.

Dlatego książka nudna, choćby z najlepszą chęcią i na najlepszy w świecie temat pisana,

jest dla czytania młodzieży stanowczo złą, jest przez wpływ od czytania odstrasza, książka w skutkach szkodliwa. Rodzice też powinni być uważni pod tym względem i tak na tę stronę rzeczy baczni, jak uważnymi i baczniymi im być trzeba, aby do rąk młodzieży nie dostawała się książka psująca, książka mało uczciwa, dająca przedwczesną wiedzę złego. Trzeba pierw, aby istota młoda mogła dobre silnie ukochać i wdroyć się w jego praktykę, zanim wiadomość o tem, co złe, myśl świeżą zbrudzi, wyobraźnię skała, i życie młode, nieugruntowane jeszcze jako charakter, nie wyrobione jako wola silna, na pokuszenie powiedzie. W domu, gdzie rośnie dziecko, żadna taka książka postać nie powinna, bo nikt nie wie jakim przypadkiem może w ręce tego dziecka wpaść i uderzyć na jego wyobraźnię psującymi wpływami swemi.

W miarę, jak dziecko podraasta, rodzice powinni obznajmiać je z literaturą ogólną. Jest rzeczą naturalną, że to, co najbliższe, więc przez wszystkie względy życia najwięcej nas dotykające, pierwszeństwo tu mieć powinno, mieć musi, jeżeli tylko wychowanie nie jest niedbałe i źle prowadzone. „Cudze rzeczy wiedzieć dobrze jest, swoje potrzeba.“ Więć też należy najpierw obznajmiać młodzież z arcydziełami swojskiej literatury. Nasza nie jest, Bogu dzięki, w wyższych, szlachetniejszych swych przedstawicielach nie była nigdy, obrazami brzydkich, niskich stron życia skalana i tak niewiele liczy scen, w których dzika namiętność gra na zmysłach, że młodzież dorastająca może książek tych większość w ręce dostawać bez szkody żadnej, a z pożytkiem wielkiem skuteczniejszego ogrzewania sobie serc i podnoszenia umysłów, niż gdyby czytała wyłącznie książki dla młodego wieku pisane. Szczególniej umysły żywsze, gorętsze nie dają się długo na paskach prowadzić i prowadzenie takie, jeśli jest przedłużone, sprowadza tę rzecz niebezpieczną, że młodzież sama sobie książki dobiera, sama czytaniem swoim na chybi trafi kieruje. Pamiętniki, wyprawy dalekie z celem naukowym, lub dla dobra ogółu swego przedsiębrane, jak na przykład Paska — życiorysy osobistości wyższych, dzieła poetów, dalej powieści umiejętnie dobrane, jak *Jermola* i tym podobne Kraszewskiego, Kaczkowskiego, z dawniejszych Bronikowskiego — wszystko to da budulca i zajęcie żywe, zamiłowanie książki tak budzące, jakie rzadko kiedy daje się otrzymać przy literaturze konwencjonalnej, u nas z małym wyjątkiem reprezentowanej przez pół talenta, ćwierć talenta, a często obywającej się bez żadnego talentu zgoła. Dobra chęć wiele znaczy, ale nie może wszystkiego otrzymać.

Takie przerabianie dzieł odpowiednich, jak na przykład wspomnianych wyżej pamiętników Paska, które kilka lat temu wyszło nakładem Orgelbranda, a w wybornem opracowaniu Laskarysa, dać też może bardzo dobre, doskonałe nawet czytanie dla dzieci starszych. O twórczość tu nie chodzi, bo rzecz to stosowana, cel zaś — zajęcie dobre umysłów młodych — osiągnięty zostaje, podobnie, jak w naśladowaniach, na przykład: *Król Krak i Królowa Wanda*, przez Przyborskiego. Czytelnik czuje tu podkład wzięty ze *Starej Baśni* Kraszewskiego, niemniej książka wydana przez Gebethnera i Wolffa jest wyborną, i tylko cieniem pewnym są tu niepedagogiczne i nieestetyczne, więc niepotrzebne obrazy okrutnego męczenia jeńców.

W ogóle postacie historyczne bohaterów, odkrywców, wielkich podróżników, tło historyczne bardzo się dobrze nadaje do książek dla młodego wieku. Jest interes już wyższy, jest scena szersza, a na niej gra wypadków zajmujących, jest nawet często gorące starcie namiętności, nie powszednich, bez poruszenia przeciw tych stron życia, które jeszcze zawcześniej jest wyobraźni młodej przedstawiać. *Robinson Crusoe* to typ książki tego rodzaju, wzór klasyczny, jak można nie przekraczając granic zaznaczonych przez względy pedagogiczne, tworzyć rzeczy poczytności najwyższej.

Czytanie młodzieży ma u nas zapewnione dwa dobre pisma peryodyczne: *Przyjaciel Dzieci* i *Wieczory Rodzinne*, co rok przecież wydawnictwa na

*Gwiazdkę* przynoszą książek i książeczek kilka. Pierwszą w tym roku jest książka Teresy Jadwigi znanej pisarki dla młodzieży: cztery powieści z rycinami Gersona: *Na Pobratymczej ziemi*, *Zwycięzca*, *Doczekali*, *Syn Kmieci*. Dziełko to wchodzi w skład *Biblioteki Ilustrowanej dla młodzieży*, wydawanej przez Hösicka.

Książka ta dobra, bardzo dobra, ma właśnie tę treść historyczną, która pozwala na wprowadzenie do czytania starszej młodzieży owego żywszego interesu, jaki przy obrazach życia rodzinnego i towarzyskiego jedynie, rzadkokiedy w tym dziale literatury otrzymać się daje. Szczególniej obrazek z życia Serbów w początkach bieżącego stulecia: *Doczekali*, przedstawiający zajścia między dwoma braćmi, z których jeden poturczyńcem jest i odstępcą od wiary Chrystusowej, budzić może, i niewątpliwie budzić będzie, zajęcie czytelników.

Inny, a pierwszy z kolei: *Na pobratymczej ziemi*, mający za przedmiot domowe wojny Czechów za panowania słabego króla Wacława, też interesujący jest przez smutną dolę kobiety, którą lekko-myślna płochość i brak głębszego przywiązania do obowiązków wtrącają w ciężką uczuć kolidyżę. Ukazuje się tam na chwilę i nasza historyczna postać jedna: Spytko z Melsztyna. Ostatni obrazek: *Syn kmieci* z czasów Jana III-go i odsieczy danej przezeń Wiedniowi, choć też mogący zająć, ma jednak jedną wielką wadę. Bez żadnej tego potrzeby, bez żadnej nauczającej tendencji i chyba tylko dla podniesienia kolorytu przedstawia niesmacznie, niepedagogicznie butę i swawolę szlachecką. Teresa Jadwiga zapewne nie pragnęła tego skutku, jaki to sprawić może na młodych czytelnikach, ale niemniej istnieje on — smutny i niemiły, stanowi ujemną stronę książki. W książkach historycznych dla młodego wieku, stosować należy przy opracowywaniu przedmiotów swojskich stare przysłowie łacińskie: — „O umarłych dobrze, albo wcale nie.“

Tu zresztą cienie czarne nie są nawet użyte dla konwencyonalnej choćby moralności, dla wykazania, jak to złe jest dobrym nie być — tylko ot tak: — dla kolorytu, który nawet nie ma uwydatniać wad epoki, bo to ani z treści książki nie wynika, ani autorka od siebie młodym czytelnikom tego nie powiada. Nie zna widać autorka, lub przepomniała na tę chwilę przestrogi Asnyka, jak „zachowywać ideałów świętość.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Henryka Beecher-Stowe.

(Dokończenie).

Wrażenie wywarte przez książkę pisarki amerykańskiej było niewątpliwie tak silne z przyczyny, że kwestya poruszona żywotną była i palącą — że jątrzyła się w życiu narodu, w łonie rodzin, jak rana bolesna; lecz to właśnie stanowi wyższą zasługę autorki, że umiała wejrzeć w potrzeby swego czasu i wystąpiła szlachetnie z poparciem temu, co zwyciężyć potrzebowało. Sztuka dla sztuki, jak chcą estetycy niektórzy, cóż to przecież jest w gruncie rzeczy, jeżeli nie sztuka dla piękna, więc sztuka, która przez wpływ tego piękna czyli harmonii i wyższego wdzięku, uszlachetnia smak i podnosi człowieka nad grubo naturalizm? Przez wyrobienie uczucia estetycznego wytwarza się już w piersi ludzkiej pewna idealność, a jeżeli sztukmistrz wcieli jeszcze w dzieło swoje myśl wzniosłą, technie w nie zapał dla tego, co czyste i wysokie, staje się z tego zarazem sztuka dla dobra, dla prawdy życia w jego powołaniach wyższych — i czyż celowość taka szkodzić może czemu?

Tendencyjność, przez którą sztuka łączy się zagadnieniami żywego życia, nie jest ujmą, ale dodatnim przymiotem dzieła, wcielonym weń pul-



sem życia ciepłem, byle tylko istniały obok te warunki rozumnej myśli i artystycznego piękna, których kodex estetyczny od danego utworu wymaga. *Chata wuja Toma* posiada tego dość, aby nazwać ją było można z punktu literackiego sądzenia powieścią dobrą, dającą się czytać z zajęciem, przedstawiającą charaktery, kreślone rozumnie i umiejętnie. Jest tam nawet jeden znakomicie i z wyższym artyzmem malowany obraz rodziny: kobieta egoistka, która wobec rozgrywających się w koło niej tragedii okrutnych, pieści żałośnie swoje migreny, swoje nerwy rozdrażnione tem, że nie może bawić się i zachwycać sobą, gdy obok niej mąż—natura wyższa i szlachetna, ale nie dość silna,—staje się przez tę kulę u nogi swojej smutnym, zwątpiałym szydercą. Ratuje mu dopiero duszę anielska dziewczyna—córeczka jego śliczna i dobra, która umiera przecież, bo ta delikatna, tkliwa, wysoce poetyczna istota żyć nie może wśród warunków otaczającego ją życia. Szkic ten sam jeden już dowodzi, że talent jego autorki był wyższym, szlachetnym talentem, który przecież podniósł się i spoteżniał przez to, że się oddał na posługę wielkiej idei, wielkiego, wzniosłego uczucia. Mrs Beecher Stowe napisała jeszcze kilkanaście powieści i traktatów o moralności, kilka tomów podróży, ale po nad tem wszystkim góruje przecież i do nieśmiertelności przechodzi tylko to, co „myśl wieku chowa w głębi”—to, co było tendencyjnym—co walczyło za wielką sprawę ludzkości, za wielką sprawę amerykańskiej ojczyzny. W czwartym tomie dzieła: „Historia Stanów Zjednoczonych” wydanem w Warszawie 1878 nakładem M. Glücksberga, w tomie IV, który jako dopełnienie trzech pierwszych, przełożonych z Laboulay’a, napisał oryginalnie Maryan Dubiecki, znajduje się cały ustęp poświęcony działalności tej kobiety, która stała się wśród stronnictwa abolicjonistów wielkim głosem upominającym się za sprawiedliwością, za uznaniem człowieczeństwa w każdej istocie ludzkiej, i p. Dubiecki nazywa ją też „wielką bojownicą dobrej sprawy.”

Niewątpliwie była nią: podważała pismami swemi wagę siły, która skuwała łańcuchy nieszczęśliwej ludności czarnej, uderzając na serca, kołacząc do sumień zatwardziały handlarzy ciała ludzkiego, i dlatego też punkt ciężkości w sądach o tej wielkiej kobiecie padać powinien, nie na jej talent, większy lub mniejszy, ale na ducha talentu: na iskrę od której się zapalał i biorąc od niej blaski swe i kolory, działał w społeczeństwie. Talent największy; ale zimny i bez wpływu, to rzecz piękna, którą chowa się z uszanowaniem do archiwów ludzkości, ale dla postępu, dla rozbudzania ducha i polotów jego wzwyż, trzeba ludzkości natchnień żywych i gorących.

Amerykańska pisarka taką była i jako taka sądzoną być powinna: była motorem idei szlachetnych, była „ich wielką bojownicą...”

Na tych samych motywach osnuta, powstała z tego samego natchnienia, co *Chata wuja Toma*, była druga, również w swoim czasie poczytna, jej powieść: *Dreed*, oparta też na zdarzeniu prawdziwym. Murzyn Scott Dreed, który przebywał czas jakiś u swego pana w Stanie Missouri, cierpiącym u siebie plagę niewolnictwa, przeprowadził się do wolnego od niej Stanu Illinois, gdzie Dreed, idący za swoim właścicielem, jak pies za panem, poznał i pokochał kobietę wolną, ożenił się z nią, miał kilkoro dzieci; lecz gdy właściciel jego wrócił w rodzinne strony, nietylko już jego, ale i tę żonę, i te dzieci jego zabrał ze sobą, jako rodzinę i potomstwo niewolnika swego. On przecież prawa tego uznać nie chciał i wystąpił przed sądy Stanów Zjednoczonych, gdzie jednak nie znalazł przychylnego dla siebie wyroku. Murzyn niewolnik nie posiadał praw cywilnych człowieka białego i jego dzieci, jego żona mieć ich nie mogły.

Sprawa ta wywołała namiętną walkę wśród przyjaciół ludzkości i choć wrogowie jej stali tak silnie że Najwyższy Sąd Stanów Zjednoczonych, przychylił się do ich chęci „wielką bojownicą dobrej sprawy” rzuciła im rękawicę. Napisała nową powieść, której znowu odbito krocie egzemplarzy, którą znowu tłómaczono na wszyst-

kie języki narodów cywilizowanych. Na nasz język dokonał przekładu Gustaw Czernicki; wydana nakładem *Czasu* w Krakowie 1858 r., w Warszawie wyszła w 1859 pod tytułem *Czarni i Biali*.

Angielski tytuł jest: „Dreed, a tale of the Dismal Swamp” a jedną z wielkich literackich piękności książki, wyższej, jako utwór literacki, od poprzedniczki swojej, bo pisanej już jednolicie i z planem, tworzącym całość skończoną, jest bardzo piękne malowanie natury. Zaznacza się to już i w *Chacie wuja Toma*; tu przecież rozwija się to wspanialej, jest pełnem poezji, a przez kontrast z tragiczną stroną książki ma w sobie niewypowiedzianą łagodność i spokój melancholijny. Wprawdzie scena nadaje się do tego: „Dismal Swamp” czyli „Dismalne Moczary” to jak świat jakiś zaklęty—tajemnicza twierdza natury, której granic człowiek jakoby przestąpić nie może, a do której wciska się jednak zbieg nieszczęśliwy i żyje tu z dzikim zwierzem, z gadami, płazami potwornymi takich rozmiarów, jakich gatunki te nie dochodzą nigdzieindziej. I nie on jeden tu jest, lub był: spotyka wkoło siebie ślaży, widuje ognie—zdaje się dostrzegać cienie, których przecież lęka się niepewny i przerażony—mniej obawiając się krokodyli, niż człowieka. Longfellow wśród swoich „Poems of slavery” tak maluje scenę, wśród której rozgrywa się jeden z aktów tragedii Dreed’a:

Wśród Dismal’skich bagien trzęsawiska  
Leży murzyn ścigany i dyszy;  
Widzi płomień gdzieś z koczowisk błyska,  
Tentent konia gdzieś w oddali słyszy.  
W mrokach nocy pluszcze fala blizka,  
A brytanów wycia płyną w ciszy.—

Po sitowiacach, paprociach, dokoła  
Świętojańskie migają się muchy.  
Mchem obrosłe jodły wznoszą czoła,  
I szeleści z wiatrem mech ten suchy.  
Rosną cedry, jak węże z padola  
Jadowitych win pną się łańcuchy.

Tam, gdzie nigdy krok ludzki nie mierzy,  
Myśl się ledwo posunąć ośmieli:  
Gdzie traw dzikich dziki las się jeży,  
Drżąca zielen na drżącej topieli,  
Tam zbieg murzyn, jak zwierzę w swojej leży,  
Na szuwarów twardej legł pościeli.—

Jest wychudły, kulawy i stary,  
Strasne jakieś skurczyły go bole.  
Ognistemi wypalone żary  
Piętno hańby na czarnem ma czole;  
Szmat więziennej podłej płachty szarej  
Drżących członków okrywa niedolę.—

Przecież wszystko, co dokoła żyje,  
Jest wesołe, piękne i swobodne;  
Wiewióreczka, co się w gąszczach kryje,  
Mieszkające w trzcinach ptactwo wodne,  
Z pierwszym świtem w błękity się wzbija,  
Pod niebiosą uleci pogodne.

Ta nieszczęsna istota jedynie  
Wzięła wiecznej męki przeznaczenie:  
Srogiej kłątwy spadek po Kainie;  
Biczem węzów przez życie ją żenie  
Chyba w śmierci łaskawej godzinie  
Znajdzie ciche grobu odpocznienie.

Stronnictwo niewoli usiłowało krzyżować wpływ pióra Mrs Stowe przez krytykę, która zbijała jej dowodzenia, przedstawiała je jako przesadzone, na grancie exaltacji purytańskiej wyrosłe kłamstwa. Chciano dalej ośmieszać ją samą przez parodię, zbrudzić jej dobre imię za pomocą potwarzy, ale prawda ma to do siebie, że jak słońce mgły rozpędzą i jaśniejszą jeszcze z nich wychodzi. Proces wytoczony jej o zakłócanie porządku publicznego i krytykowanie praw obowiązujących, kazał jej zebrać dla obrony swojego materiału statystyczny, na którym się opierała a który opracowany potem przez nią i drukiem ogłoszony pod tytułem „Klucz do cha-

ty wuja Tomasza” wykazał taką głębokość myśli i szerokość poglądów, że uciszyć musiał wszystkich jej nieprzyjaciół i dał jej w narodzie stanowisko, rzadko osiągnięte przez kobietę. Została też wtedy redaktorką pisma „Ognisko i dom” (Hearth and Home) wydała zbiór hymnów religijnych, wiele broszur o moralności i życiu rodzinnem, z pomiędzy których jedna, wydana w 1865 r.: „Little’s foxes” była tłómaczona w piśmie naszym pod zmienionem nieco tytułem: „Małe błędy.”

Małe błędy są to jak niebacznie wpuszczone do domu lisięta młode: rosną, nabierają sił do szkód, podstępnie dokonywanych i niszczą bogactwo nasze, ubożają nas, ogalającą z mienia duchowego.

Sześć jej utworów przełożonych było na nasz język a z pomiędzy tych *Chata wuja Tomasza* oprócz dwóch przekładów została opracowaną dla młodego wieku, i podobnie wszystkie europejskie literatury posiadają przekłady jej wybitniejszych powieści. Można też powiedzieć, że po pierwszych ciężkich przejściach i starciach, życie jej całe było szczęśliwem i słonecznie oświeconem, z jednym tylko cieniem, o którym powiedzieć przecież można, że był to cień jej cnoty, cień jej gorącej natury, chcącej zawsze walczyć z nieprawością, a bronić tego, co niesprawiedliwie zostało w dół zepchnięte. W czasie swoich podróży po Europie, dwukrotnie odbywanych, weszła w stosunek przyjaźni z lady Byron, a ta w zaciętej nienawiści dla pamięci męża, niewiernego jej wprawdzie, ohydnie obryzgała przed nią jego pamięć. Gdy więc ukazały się w druku pamiętniki hrabiny Giuccioli, które dotyczyły stron bolesnych dla opuszczonej małżonki poety, Mrs Stowe podniosła nieszczęśliwie tę sprawę i ogłaszając światu marzenia zacieklej kobiety pod tytułem „Lady Byron vindicated” sprowadziła na swoją głowę burzę nagań i krytyk surowych, tem przykrzejszych, że były po części zasłużone i przez żadne poważniejsze pióro nie odparte.

Starość jej była cicha i spokojnie upływająca. Po śmierci męża otoczyła ją opieka dobrych dzieci, wywiązujących się uczciwie z długu za odebrane dobrodziejstwo dobrego wychowania, a łagodna i niepyszna, nieprzeceniająca swych zasług, nie pragnęła już nic więcej prócz dobrej śmierci i cichego odejścia w zaświat, co dla wierzącej i głęboko religijnej nie było rzeczą straszną, nie było zapadnięciem w ciemność. Błędną być musi wieść, rozpowszechniona u nas, że przed śmiercią zniedołężniała umysłowo, bo pisma angielskie podają z ostatnich już czasów takie szczegóły, które sprzeczą się z tem najmocniej. Zapytana w tych właśnie czasach: jakie są jej religijne przekonania?—odpowiedziała, że wiara jej jest taką, jakiej przykazanie zawiera skład apostolski: *Wierzę w Boga*, co zaś do praktyki religijnej, usiłowała zawsze mieć ją taką, jaką wyznawała w pismach swoich a głównie w *Chacie wuja Tomasza* i w *Hymnach*. „Całe moje życie usiłowałam życie to urabiać zgodnie z temi wierzeniami moimi” (I have all my life sincerely endeavoured to mould my life in accordance with these beliefs.)

Zaczynają też podnosić się głosy, że i wiadomość o jej śmierci nie jest dostatecznie stwierdzoną, że rozpuszczono ją przedwcześnie w czasie jej choroby, która jednak nie stała się śmiertelną. W każdym razie dzieje jej żywota są już zamknięte: nic więcej już się dodać tam nie może i w każdym razie, czy trwa jeszcze na świecie, czy uszła już z niego, niech z duchem jej będzie pokój Boży i wdzięczność ludzka.

M. Ilnicka.



# ZE SPUSCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

V.

„Gdzież jasność? Niebios, gdzież płomień? Gdzież światło duszy wiekiste?”<sup>1)</sup> — takim pytaniem zamyka Hugo poświęconą przyrodzie księgę II-gą „Całej Liry.” Poszukiwanie odpowiedzi na te pytania, nieustraszone pogoń przez szczyty zawrotne i przepaści bezdenne za pierzchającym nieustannie i w mgły niepewności kryjącym się rozwiązaniem męczących umysł człowieka od niepamiętnych czasów zagadek metafizycznych — zwątpienia, mroki, walki, burze wewnętrzne — i wreszcie! wspaniała tęcza pojednania i harmonii na słonecznym tle utopijnej nieco myśli pogodzenia i nierozzerwalnego związania wiary z wiedzą: oto co stanowi treść księgi trzeciej. Metafizyka króluje tu prawie niepodzielnie, i to metafizyka tonąca po ramiona w niezgłębionych falach mistycyzmu, pełna snów, wizji i marzeń gnostycznych, roztapiająca się w końcu w ognistych promieniach, ukazującego się poecie zza chmur sceptycyzmu i niepewności, słońca gorącej, niezłomnej, nawpół z reminiscencji dziecięcego wieku, nawpół z rozumowania płynącej, nie bezmyślnie dogmatycznej, lecz tem wyrozumowaniem właśnie, tą swoją własnowolnością wyszlachetnionej, wiary w Boga. Poeta stanął tu — z natury samej poruszanego przedmiotu — na „niedostrzegalnej pochyłości, która prowadzi ze świata rzeczywistego w sferę niewidzialną; spiralna jej linia wiedzie gdzieś w głębie bezdenne i, gdy schodzić po niej, przedłuża się nieustannie i rozszerza w nieskończoność; podróżnicy, którzy biegną tą drogą za kluczem do jakiejś zagadki fatalnej, wracają często bladi z mrocznej tej wędrówki.”<sup>2)</sup> Z wybladłem obliczem wróciłby z niej i Hugo, gdyby w samej głębi otchłani tej nie padł mu na twarz różany odbłask owego słońca wiary, która nie rozwiązuje wprawdzie tajemnic i zagadek, ale koi burze, łagodzi ból ran, przez Sfinxa zadanych, i choć chwilowy znękanej duszy daje odpoczynek.

Księga III „Całej Liry,” będąca w nader ścisłym związku z poprzednią, jest dokładnym obrazem całej pielgrzymki poety po owej niedostrzegalnej pochyłości, od niepewnych, pod działaniem czysto-zewnętrznych wrażeń ze świata rzeczywistego rodzących się, przeczuć pesymistycznych o potęgę ciemności — przez najgłębsze przepaści ostatecznego zwątpienia aż do zmartwychwstania i odrodzenia, choć może chwilowego tylko, przez wiarę. W pierwszym ustępie tego działu, zatytułowanym „Skutki przebudzenia,” znajdujemy autora w temsamym stadium, w jakim zostawiliśmy go przy końcu księgi poprzedniej. Niesłychanie wrażliwy na zjawiska natury, puszcza on na tle ich, posępne lub wesołe, chmurne lub jasne, wodze swej, nieznającej tam granic, wyobraźni i tworzy, stosownie do kolorytu tła owego, przeróżne wizje i mary potęg nieznanych, niewidzialnych, groźnych lub łaskawych, żywiących lub zabójczych. Przeczucia te, fantazje i widziadła są jeszcze bezpośrednim wpływem oddziaływania rzeczywistości. Noc ciemna, ponura, tajemnicza nasuwa mu ciężkie, duszące jak zmora, myśli o przepaściach, upadkach, zwaliskach, grobach, śmierciach i wszelkich złowrogich siłach, tamujących

pochód ludzkości; lecz oto wybłyska zorza: jasność, błękit, ulewa światła złotego — to życie, to praca, to ruch, to nadzieja, to postęp, to Bóg dobra i światła, który zwycięży potęgę ciemności.

Podobnie pod bezpośrednim wpływem otaczającego, dotykającego świata, przypatrując się ludziom, przyrodzie i całemu niezmiernemu bogactwu zjawisk rzeczywistych, pisał Hugo takie pełne najgłębszych reflexy filozoficznych utwory, jak technące gorzką wzgardą dla rzeczywistości i nieukojoną tęsknotą za jakimś lepszym innem życiem, przepiękne, choć niepozabawione reminiscencji z dawniejszych dzieł autora<sup>1)</sup> rozmyślanie nad kolebką nowonarodzonego „Dziecięcia” (Ks. III, 2, tom I, str. 171); jak przepełniony nadmiernie erudycją i zbyt dydaktyczny fragment wewnętrznej istocie „Kobiety” (5, str. 179); jak prawdziwą, szlachetną, ludzką moralnością technące, lecz również za dydaktyczne i wskutek tego nieco prozaiczne allokucje do bogaczy i możnych świata (6, str. 185) i „Dopełniających małe błędy” (7, str. 187); jak odnoszące się raczej do księgi pierwszej: — nienowoty treścią urywki „Myśl o wojnie nie daje spokoju wieszczom” (9, str. 191), oraz przepyszy, raz jeszcze świadczący wymownie o bezgranicznym współczuciu poety dla wszystkich nędz i nieszczęść ludzkich, a mogący zająć godne miejsce obok słynnej obrony „Upadłej kobiety” w „Pieśniach zmroku” (XIV), ustęp o niewinnie skazanych (10, str. 193); jak pełna cichej melancholii medytacja nad krótkością pamięci ludzkiej o zmarłych, choćby najdroższych za życia osobach („Kontemplacja pociechy” 17, str. 215); jak wreszcie, piękny wykończeniem, choć niewyraźny pomysłem obrazek starca z dziecieniem na cmentarzu (20, str. 223).

Ale zwolna skrzydła rosną rumakowi wyobraźni, ciągle podleganie wpływom rzeczywistości zaczyna mu się wydawać nazbyt ciężącym jarzmem, wielkie zagadnienia bytu wabią i nęca go z nieprzepartą siłą coraz dalej a dalej, aż tam, gdzie już gruntu zaczyna braknąć pod nogami; coraz szaleńszy pęd jego poczyną upajać, odurzać samego poetę, wędzidło trzeźwego rozsądku, hamującego wybryki fantazji, słabnie, i wieszczmyśliciel, uniesiony niewstrzymanym lotem rozszałego swego hippogryfa, rzuca się w niezmierną otchłan cieniów, na dnie której śpi Wieczność... „Wkrótce — opowiada poeta o tej pogoni swej za nieujętem — ciemności otoczyły mnie dokoła, widnokregi rozpląły się w mgły tumanach, formy i postacie zniknęły, człowiek i świat cały, byt i duch rozwały się pod mem technieniem. Dreszcz mię przebiegł. Byłem sam. Wszystko pierzchło. Przestrzeń tonęła w mrokach. Widziałem tylko w dali, przez oponę ciemności, jakby ocean czarnych, bałwaniących się fal, spiętrzone stosy liczb w przestrzeni i w czasie!”<sup>2)</sup> W miarę jak świat rzeczywisty rozpląwa się w dali i ginie w pomroce, „cała posępna apokalipsa” roztacza się przed osłupiałymi jego oczami — „wszystkie te widma niezliczone, jakie wieczór razem z ciemnością sprowadza na ziemię, otaczają go i, wychodząc z pomroki, tłumnie wdzierają się do wnętrza ducha jego... Przed rozognioną jego żrenicą, na posępne, czarnem tle, gdzie żaden promyk nie błyska, przepływają zwolna, jakby fale dymów i mgieł niepochwytne, przerażające wizje... Potem wszystko przybiera kształty, wszystko szykuje się w ścisły porządek, jakby w dantejskim piekle, wszystko w tej mgle dziwacznej staje się naraz wyraźne, pozostając straszliwym... On zatapia płonące oko w tej przepaści poruszających się postaci, w tych ciemnościach, gdzie mrowi się ślepy tłum żyjących. Przez mroki gęste dochodzi doń szmer ich głosów, jak brzęk niepoliczonych rojów pszczolnych, jak świegot ptasich stad w głębinach lasów. Każdy pracuje — sam Bóg to prawo ustanowił dla wygnańca raju — jeden na roli swej, drugi myślą, jeden orze, drugi zgłębia.

Wszyscy szukają, nikt nie znajduje. Niebo wydaje się zrozpaczoną ich oczom czarną pieczarą wilczycy w głębi lasu, w posępną noc zimową. Dokąd idą? — ku jednemu wrotom. Czem są? — falami jednego potoku. Co mówią? — noc słowa ich pochłania. Co robią? — grób chłonie ich czyny. Wiatr zgina ich wszystkich, starych i młodych, jak giętkie sitowie... Oh, z jakichże ust niewidzialnych wieje ten wiatr tajemniczy?”<sup>1)</sup> Nad słuchuje. Znikąd odpowiedzi — i tylko coraz straszniejszy dokoła rozgwar bezgranicznego chaosu mroków! „Posępne psy państwa ciemności otchłanie, czego chcecie odemnie?” — woła z rozpaczą. — „Czego żądacie, noce grobowe? Czemu dmiecie, wichry zazdrosne? Czemu, skupiając mgły, chmury, tumany, wiry i fale wyjące, tworząc dokoła mnie, przed memi przyémionemi zrenicami, to niepolicone mnóstwo niejasnych, niepochwytne postaci, siejących grozę i przeżenie?... Uciszcie się! Dajcie mi marzyć o Bogu!”<sup>2)</sup> Próżno! Mroki gęstnieją, ciemność coraz straszliwsza dokoła, zwątpienie, gad spoczywającej na dnie otchłani, poczyną wgrzyzać się w serce poety. Jak tyle innych „wielkich serc, w których Bóg się odtwarza,” a które, „choć wszystko dokoła nich ucieka, przechowują świętą ciekawość przepaści i nocy;” jak tylu innych wiedzących, synów Paryża, Londynu, Rzymu, i widzących synów Ur i Memfis, — nie może on oderwać się od przykuwającego go do siebie magicznymi węzły pytania, które „człowiek, chyląc się nad bytem i jego zjawiskami, od wieków nieustannie sobie zadaje: „Przyrodo, na co jam się urodził?”<sup>3)</sup>. A z nierozwiązalnego tego pytania tysiące nowych powstaje kwestyi, myśli i reflexy, a wszystkie one coraz posępniejsze, coraz gęstsze sieją dokoła zwątpienia i goryczy mroki. „Czyliż konieczne są bicze wszystkich klęsk, pod których ciosami jęczymy? Pocóż to drzewo nędz i niedoli, rozpościerające konary swe nad naszymi czołami? Złe panuje nad nami, a gdzież tego przyczyny? Rzec-by można, iż celem bytu, jest ukryć Boga, który od nas ucieka, że niezbadany cud naigrawa się z nas, i że cały świat pracuje nad zwiększeniem ciemności!... Życie i śmierć — co to jest, o przepaści? Dokąd idzie człowiek blady i niepewny? Oltarzem on, czy ofiarą? Lemieszem, czy zbożem?... Co za tajemnica w nas się spełnia?”<sup>4)</sup>

„.....Zagadka! Gdzie ja powiadam: zgnilizna! sęp nadlatuje wołając: biesiada! Czemże jest natura? Czem przeznaczenie? Idziemy-ż pewnymi drogami? Czy mogą potęgi ciemności skrócić naszą ścieżkę na manowce? Czyś władny, o, losie fatalny, który pchaś nas śród mroku, zmienić przez nagłe wstrząśnienie postać jutra?... Wszystko jest obiecanie, nic nie jest dotrzymane. Czyliż jednym z imion Nieznanego miałoby być: Nieublagany?... Idę, posuwam się i cofam, biegnę, gdzie niejeden zginął; od czasu do czasu w pomroce tej ponury głos za mną woła: Czego szukasz? wszystko uchodzi, wszystko przemija. Ziemia jest niczem. A przestrzeń cóż zawiera w sobie? czyż to jest rzeczywistym?... Dokądże biegniesz, biedna zdumiona duszo?... Nierozumny, kto sobie wyobraża, że pozna wszystkie widnokregi, grób, koniec i początek, kto poświęca się wyłącznie temu celowi i woła: Naprzód, naprzód!... Nierozumni wszyscy śmiałkowie, co rzucają się w czeluście wulkanów, marząc o postępie na ziemi lub o raju w niebiosach! Gdy patrzysz na uśmiech skieletu, czy jesteś pewnym, że ten ponuro drwiący grymas nie jest, — względem dobrych, których zło zgnębiło, względem sprawiedliwych, na których wszystkie nędze ciążyą, względem męczenników na stosach, względem duchów wierzących i twórczych, względem dusz wdychających do swej ojczyzny, — przerażającym szyderstwem mogiły, która wie o nicości!”<sup>4)</sup>

(Dokończenie nastąpi).

1) Ks. II, 32, tom I, str. 163.

2) „Liście jesienne,” 29; „Pochyłość marzeń.”

1) Przypomnimy tu tylko niektóre ustępy znanej ogólnie pieśni (XIX) z „Liści jesiennych” i „Lorsque l'enfant part...”

2) „Liście jesienne,” 29, „Stok marzeń.”

1) Ks. III 13 „Wizje” tom I-szy str. 199.

2) Ks. III, 23, tom I, str. 233.

3) Ks. III, 24, „Mrok,” tom Iszy, str. 235.

4) Ibidem.



# NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg).

Bolesław wrócił do siebie zamysłony i smutny. Wszystkie plany jego i nadzieje rozwiewały się z wiatrem. W chwili, kiedy miał bój stoczyć z przewrotnym Izasławem, ażeby sobie za plecyma stworzyć potężną przyjaciółkę na Rusi los otwierał mu nową drogę—do Polski. Buta, i krótkowidzenie szlachty zgruchotały ostatnie nadzieje. Musiał wracać: wojna z Rusią zabrałaby mu zawiele czasu, a potem wracać już może nie byłoby po co. Kiedy Bolech nalegał, ażeby król przed wyruszeniem w drogę odpoczął nieco, odrzekł mu z goryczą:

— Nie wiem gdzie spoczne... Widzisz przyjacielu jak oni sądzą moją pracę i miłość dla kraju! Dobrego nie widzą, a ukłonności ludzkie wyrzucają mi jak zbrodnię... Im trzeba innego króla—wiem... Sieciech pragnie takiego, jak Władysław, aby go mógł za rękę prowadzić; biskup krakowski chciałby mieć króla służką Kościoła... Ja na takiego króla nie stworzony! Jadę ostatni bój stoczyć z nimi... chwili jednej do stracenia niema. Albo niech będzie jeden król—ja, albo niech królują książę i szlachta, niech grzebią lud do reszty... a potem... potem Bóg wie, jak się skończy to królowanie...

Jeszcze było jakie dwie godziny do dnia, kiedy król wydał rozkaz ściągnięcia obozu i wyruszenia drogą na Wasylów. Uderzono w kotły, zabrzmiała echem cała lesista okolica, odgłosem kotłów, rżeniem koni, brzękiem oręża. Lud okoliczny nie wiedział, co to wszystko znaczy, ale drżał z przestachu na jedną myśl nowej wojny, która przyniesie mu znowu zniszczenie i pożogę.

Przekonano się wkrótce, że obóz ruszył z powrotem do Polski.

Kiedy dano o tem znać Izasławowi—nie wierzył.

— Poszedł? Dokąd?

— Do Polski...

— Do Polski? Nie! On na nas z boku uderzy...

Nie wierzył, a jednak nie śmiał jednej strzały posłać w pogoń za odchodzącymi. Zgromadziwszy trochę rati i drużynę w Kijowie, zamknął się i czekał napadu Bolesława.

Minęło kilka dni, a wojsko lackie nie pojawiło się pod Kijowem; znowu kilka dni minęło, aż oto przybiegła pewniejsza wieść, że Bolesław na Przemyśl do Polski ruszył...

Izasław nie mógł sobie wytłómaczyć tego postępowania i rozpuścił pogłoskę, że król uciekł zpod Kijowa przed obawą stoczenia z nim walki.

\* \* \*

Krasny Dwór znowu został pustką. Okoliczni mieszkańcy omijali go i kniaź nie zaglądał doń nigdy. Jedynymi mieszkańcami jego były Dobromira i Luda; Luda mieszkała w tejsamej górnicy, gdzie przeszły dla niej szczęśliwe dni życia; nie ruszyła się z Krasnego Dworu. Wychudła, blada twarz jej, napiętnowana smutkiem, odbijała minione szczęście; długimi dniami i nocami chodziła sama po pokojach Krasnego Dworu, jak upiór. Rozeszła się pogłoska, że na Krasnym Dworze duch się pokazuje—i wszyscy omijali go, jak zapowietrzony. Berestowo wyludniło się, ludzie znikli i tylko lipy i jawory szumiały jak dawniej, a przy monasterze peczerskim

tuliło się kilkunastu mnichów. Żadnej pracy imać się nie mogła, bo, jak wiatr gałęzią złamaną, tak myśli miały jej duszą na wszystkie strony.

Do domu bała się wracać. Tu żyła przynajmniej drogiemi sobie wspomnieniami dla niej. Oprócz kochanej mamki, która ją jak własne dziecko kochała i nie chciała opuścić, nie było przy niej nikogo więcej. Inikt więcej nie był jej potrzebnym: wystarczało wspomnienie. Luda czekała powrotu króla... przecież, odjeżdżając, powiedział jej:— „Wróć może lub może zginę.”

Corano Dobromira chodziła do ogrodu, zbierała trochę suchych gałęzi i gotowała jadło. Zkąd brała żywność? Luda nie wiedziała. Ona zamysłona, smutna, milcząca siadywała podawnemu przed okienkiem swojej górnicy i patrzyła przed siebie: na Dniepr, na daleką nizinę... patrzyła nieruchoma, jak patrzy człowiek, który nie nie widzi już przed sobą, niczego się nie spodziewa. Z czasem uspokoiwszy się, poczęła chodzić do pieczar św. Antoniego; coraz częściej, coraz dłużej tam zostawała, lub też nad ręcznymi robotami całe dnie trawiła.

Dobromira, patrząc na nią, głową kiwała. — Zawsze tak samo... — myślała. — Codzień jeden i tensam smutek, jednakowa tęsknota... Biedna synogarlica! pokochała orła, który nie mógł z nią na jednej gałęzi usiedzieć... a ona nie mogła mu lotem dorównać... On rwał się w błękity niebios, do słońca, a ona przykuta była do swego gniazda; on odleciał i nie wróci już może, a ona, zapatrzona w to niebo, które widzi przez okienko górnicy, czeka i tęskni. Gdybyż jeszcze Wyszatycz tu był... ale i ten gdzieś przepadł bez wieści...

Pośród takich codziennych myśli doczekały się wiosny. Ale wiosna nic nowego nie przyniosła. Izasław klócił się ze wszystkimi i lada dzień spodziewano się w Kijowie Wszewołoda Perejasławskiego. Wojewodowie starcy usuwali się dobrowolnie, na Waraźce zemścił się Izasław za śmierć syna, reszta Kijowianów pochyliła karki w jarzmo. Luda z Dobromirą siedziały spokojnie na Krasnym Dworze, jakby o nich zapomniano. Wyszatycz nie było słyhać, podawnemu; mówiono wprawdzie głucho, że wszedł do jakiegoś monasteru, ale były to domysły tylko.

Wiosną Luda poczęła wychodzić z górnicy i przesiadywała albo w ogrodzie na tej ławeczce, zkąd kiedyś w nocy dosłyszała skradających się dla zamordowania Bolesława zabójców, albo na runduku. Wiosna nie przyniosła jej wesela, ale przyniosła trochę życia, trochę uspokojenia. Nie było na jej twarzy podawnemu uśmiechu, ale była pogoda i zdawało się, że ją jakaś nadzieja ożywia.

Większa jeszcze zmiana ku dobremu była ze starą Dobromirą. Kiedyś wróciła od spowiedzi wielkanocnej taka radosna i rozpromieniona, jakiej oddawna już nie widziała Luda.

— Co tobie, matko? — spytał jej.

Dobromira nie odpowiedziała, ale długie pełne miłości i dobroci spojrzenie zatrzymała na dziewczynie; potem przytuliła ją do siebie i w czoło pocałowała kilka razy.

— Byłam u spowiedzi—odrzekła — Bóg mi jedną myśl podszeptał... o gdyby pozwolił ją wykonać!

Kiedy już dobrze pociepało, Dobromira nago-towawszy strawy nieco wcześniej, niż zwykle, gdzieś poszła i dopiero późną nocą do domu wróciła.

Luda czekała na nią.

— Gdzieżeś była, mateczko?...

— Niedaleko, dziecko... modliłam się w pieczarze.

Spojrzała na Lude.

— Wiesz, moje dziecko, Zielone Święta niezadługo... trzeba koniecznie, abys poszła do spowiedzi...

— Poczekam jeszcze...

Dobromira nie nalegała: — Jak Bóg da, pozdrowię, pójdziemy odwiedzić grób ojca, a potem zaprowadzę ciebie do pustelnika... nie daleko... pod Kitajowem siedzi w pieczarze... trzeba, żebyś mu duszę odkryła, wypowiedziała się... może pociechę da tobie...

Poczekają jeszcze czas jakiś i w ciepły, słoneczny dzień z południa wybrały się do Kitajowa, gdzie pod górą, według powszechnego opowiadania, w pieczarze zamknął się, uciekający od świata, jakiś asceta, do którego po odpuszczeniu grzechów lud się gromadził nabożny. Nie pytano pustelnika: kto on i zkąd przychodzi, ani co go zniewoliło do zamknięcia się przed światem? Wdziąco jego światobliwy żywot, pokorę, zaparcie się świata, i tego było dosyć dla ludu, aby pokorę i zaparcie się uszanował. Rękę jego całowano ze czcią, kłękano przed nim do spowiedzi z całą prostotą, jako przed człowiekiem czystego ducha i wielkiej łaski u Boga; o formy, o prawo kanoniczne nie pytano nikogo. Kto żył światobliwie—znaczyło, że mu Bóg dał moc potemu, a komu Bóg takiej mocy udzielił, przed tym chyłono się w pokorze.

Minęły Wydubycze i szły obie lasem i lasem, wąską drożyną. Dokąd szły—wiedziała tylko Dobromira. Luda podążała za nią, nie troszcząc się o to, dokąd ją stara mamka prowadzi. Tak szły może dwie godziny. Niekiedy w dolinie pomiędzy drzew wychyliła się biała chata osadnika, rozległ się poryk bydła lub ze wzgórza błyszcząca błękitna powierzchnia Dniepru; zresztą wokoło panowała cisza leśna. Po drodze nie spotykano nikogo. Śród głuchej ciszy lasu, obie kobiety weszły w obszerną dolinę obrzednio drzewami porośłą; dolina owa z lewej strony chyliła się ku Dnieprowi, a środkiem jej pomykał, schowany pod zielonem okryciem wierzb i łóz, strumień i tonął w Dnieprze. Przez strumień rzucony był dąb, który za kładkę służył dla podróżnych, nielicznie nawiedzających to ustronie. Przeszły obie przez kładkę i znowu w gęstym dębowym lesie zginęły pod zieloną osłoną drzew. Po niedługiej chwili las poczęł znowu rzędzić, a pomiędzy jawory i dęby migotała powierzchnia wody. Widok stawał się coraz wyrazistszym. Nawprost ścieżki zieleniało niewielkie wzgórze, otoczone naokoło prawie wielkim stawem, który ku tej stronie, zkąd szły niewiasty, zwał się, a zapomocą niewielkiego mostu łączył z łądem drożyną od Berestowa, wijącą się ku wspomnianej dolinie. Na samym szczycie tego pagórka widać było małą drewnianą cerkiewkę i kilka domków niziutkich, ubogich, niewprawną ręką skleconych, rozrzuconych po wzgórzu.

Niewiasty nie poszły przez mostek do cerkiewki a raczej monasteru, ale zwróciły się nalewo. Jak tylko pod górę nieco się podeszły, widok stawał się jeszcze piękniejszym: u dołu połyskiwał cały srebrny pierścień wody, otaczający tę małą wysepkę, na której widać było monaster, zwany Kitajewskim. Czysta, spokojna toń wody, ubranej, jak zielonym wiankiem, nadbrzeżną łąką i tatarakiem, odbijała w sobie wszystkie ubogie budynki monasteru i cele mnisze i domki osadników. Wokół stawu, równym promieniem od monasteru, piętrzyły się wysokie góry, porośłe stuletnimi dębami, klonami i jaworami. Patrząc w spokojną toń wody myślałaś, że te dęby i klony i jawory czyjaś ręka zawiesiła w srebrzystych bezdniach stawu.

Pod górę szły obie powoli; co chwila stara Dobromira siadała na murawie i odpoczywała.

— Już nie daleko — rzekła, usiadłszy — ja tu posiedzę... a ty pójdz oto drożyną, którą masz przed sobą... pod górą na drugim stoku z ubożca będzie pieczara...

Luda poszła, znalazła pieczarę i weszła.

Szła długą i wąską szyją pieczary prosto; z początku przyświecał jej blask dzienny, który niknął i zacierał się, im bardziej posuwała się w głąb nareszcie—już tylko szarzał przed nią... Bała się trochę, ale szła. W miarę jednak, jak gasły przed jej okiem ostatnie promyki słonecznego światła i ginęły w ciemności, spostrzegła łamiące się po załomach pieczary inne światła—czerwone, które ją wiodło... Dojrzała go nareszcie—świeciło, jak punkcik daleko; przy zbliżaniu się płomyk czerwony stawał się większym, a nad nim czarno-bury dym migotał za każdym poruszeniem się powietrza.

Doszła nareszcie do końca pieczary. Była to celka kwadratowa kilka kroków wszędy i wzdłuż; w jednym jej końcu na podwyższeniu w ziemi



wyciosanem, stał żarnik gliniany, a knot czerwonym światłem, paląc się, migotał. Przy drugiej ścianie była głęboka nisza, u podstawy na podobieństwo trumny wyciosana, nad tą niszą, na ścianie, w twardej gliniastej ziemi, znak krzyża zrobiony, a nad nim napis: krzyżu Zbawiciela zbaw mnie; pod napisem azbuką Cyrylla te słowa: Grób Jana, sługi Bożego. Na tejsamej ścianie z boku nieco był inny napis takiemisamemi literami: Przecierpiałem wiele, Boże! daj mi teraz spokój wieczny. U wężłowia tego grobu, w którym żywy człowiek zamknął się dobrowolnie, na kłocu dębowym leżała księga: żywoty ojców peterskich i kilka, kawałków czarnego suchego chleba, którym lud okoliczny z litości darzył pustelnika.

W pieczarze nie było nikogo. Pustelnik poszedł był po wodę.

Strach ogarnął Ludę, chciała się cofnąć, ale w tej chwili posłyszła od wejścia kroki czyjeś... zbliżały się ku niej... coraz uderzały o suchą ziemię wyraźniej i tłumionem echem rozlegały się w pieczarze. Nagle kroki ustały. Luda nie śmiała obejrzeć się poza siebie i w twarz pustelnikowi spojrzeć.

Na progu owej izby, z dzbankiem w rękę, w łachmanach odzieży mniszej stał pustelnik i patrzył.

— Ojciec mój! — rzekła Luda.

Odwrociła się, aby spojrzeć na pustelnika, upaść przed nim na kolana i prosić, aby jej dał pociechę na smutek. Spojrzała mu w oczy — i twarz obiema rękami zakryła.

— Boże mój! — jęknęła — jakże mnie każeś! — i upadła do nóg pustelnika.

Był to Wyszatycz.

Podniósł ją lekko, orzeźwił wodą, którą przyniósł i stał przed nią niemy, jak posąg kamienny. Stał i patrzył. Luda znowu twarz zakryła, nie śmiała spojrzeć mu oczy. Wychudzona, wybladła twarz jego nie nosiła już na sobie śladu życia, a jednak było w niej tak wiele żywej boleści! Myślał, że dawne rany zagoiły się, że się pogodził ze sobą i z Bogiem, a przekonywał się, że nie tak łatwo ugasić żarzewie w duszy, czuł jak wspomnienie rozdmuchiwało w niej iskrę zagasłą.

Jednak panował nad sobą i resztki uczuć w sercu swoim tłumził:

— Biedna moja siostró! — rzekł ze wzruszeniem — jaką ja ci pociechę dać mogę? Szukaj jej u tego źródła, z którego piją wszyscy spragnieni... Bóg jest rozdawcą losów na ziemi, w nim jest to źródło... On mnie tu przywiódł... pokazał całą nicość wszystkiego... Wiele było pychy w moim sercu, wielkie zamiary: widzisz, gdzie ludzką pychę pogrzebałem. Nie moja to wola... Największą walkę skończyłem: zwyciężyłem samego siebie i tu, w tej celi, dokąd słońce nie zagląda nigdy, znalazłem spokój...

Luda, drżąc, słuchała mowy Wyszatycza.

Po chwili Wyszatycz podniósł rękę i w powietrzu znak krzyża nad nią położył:

— Idź, siostró moja, w spokoju...

Kiedy już Luda wyszła, Wyszatycz padł na kolana przed znakiem krzyża, który sam, wstępując do tej pieczary, nakreślił, modlił się i płakał. Po długiej modlitwie podniósł oczy do góry; blade światło żarnika padało na słowa napisane pod krzyżem:

— Przecierpiałem wiele; Boże, daj mi teraz spokój wieczny...

Dobromira czekała.

Luda, po wyjściu z pieczary, ujrzawszy Dobromirę, z płaczem rzuciła się jej na szyję.

— O, moja matko! To on — Wyszatycz... pokutuje za moje winy!

Dobromira wiedziała o tem, że Luda obaczy się z Wyszatyczem. Będąc na spowiedzi u ojca Jeremiego, dowiedziała się od niego, gdzie jest Wyszatycz. Błysnęła jej myśl sprowadzić ich razem jeszcze raz w życiu; może młody bojar przebaczy Ludzie miłość dla króla, może biedna córka wojewody Kościuszki pokocha tego, który niegdyś był przyjacielem jej rodziny, i w ten sposób zakończą się cierpienia obojga. Pomyliła się stara mamka Kościuszkówny.

Wyszatycz już nie chciał wrócić do świata.

Wieczór się zbliżał, kiedy Dobromira z Ludą schodziły z góry, aby się dostać na drogę do Krasnego Doworu. Dolina cała i wzgórza leśne, łązy i tataraki i srebrna woda jeziora i manaster na wyspie kąpały się w ciszy wieczornej; ale ciszy nie było w sercu Ludy, bo je wąż wspomnienia opasał i krew pił z niego.

Kiedy już manaster minęły, Luda rzekła ze smutkiem:

— Widzisz, matko, on przynajmniej w pieczarze spokój znalazł: gdzie ja go znajdę?

Obie znikły wkrótce na wąskiej drożynie leśnej.

Luda nie przypuszczała, że spotkanie się jej z Wyszatyczem było ukartowaniem przez Dobromirę; przypisywała to prostemu wypadkowi, który jednak tą surową grozą rzeczywistości, z jaką się zetknęła w pieczarze z towarzyszem lat swoich dziecinnych, wstrząsnął nią do głębi. Myśl rozbudzona, jak rozdrażniona i otworzona nanoworana kłębiła się w duszy i ból jakiś niewypowiedziany sprawiała.

(Dokończenie nastąpi).

## Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Warszawskie Towarzystwo Sztuk Pięknych** zakupiło do rozlosowania pomiędzy członków 52 dzieła sztuki, w cenie 6.240 rs.

— **Deklaracje na konkursową wystawę malarzką Towarzystwa** przyjmują się po dzień 15 Grudnia.

— **Salon Krywulła** zamierza ogłosić konkurs na głowy kobiece. Nagroda pierwsza 150, druga 100 rs. Dzieła premiowane pozostają własnością twórcy.

— **Materyałów historycznych D-ra Pawińskiego** tom drugi, dotyczący połączenia Ormian z Kościołem katolickim, został przełożony na język armeński.

— **Grób Staszycza** na Bielanach był w Dzień Zaduszny pokryty wieńcami i cały jaśniał światłem jarzącym.

— **Popiersie Mickiewicza**, wykonane przez Rygiera w wielkości odpowiadającej wymiarom architektury pomnika poety, nie zyskało uznania Komisji artystycznej komitetu pomnikowego, i artysta raz jeszcze odtwarzać je będzie.

— **Krakowskie Koło artystyczno-literackie** otrzymało 7.000 zamówień na wydawaną przez nie reprodukcją obrazu Matejki „Racławice“.

— **Szytacz Hakowski**, twórca znakomitej, znanej w Warszawie reprodukcji wykutego w srebrze obrazu Matejki, przedsięwziął dwie podobne kopie obrazu tegoż mistrza: *Kazanie Skargi* i *Reytana*.

— **Na pamiątkę jubileuszu Smolki** wybitym będzie we Lwowie medal bronzowy, kosztujący 3 zł. reńskie. Nadwyżka złożonej na ten cel summy, zostanie przekazaną pamiątkowemu fun-

duszowi imienia Smolki, utworzonemu przez posłów sejmowych.

— **Na konkurs Lutni Lwowskiej** nadesłano 49 kompozycji, z tych 45 polskich, 4 rusińskich. Wycofano z nich 3, pozostało więc do osądu przez komisję konkursową 46 utworów.

— **Doroczne posiedzenie Zakładu imienia Ossolińskich** wykazało przez odczytane sprawozdanie, iż majątek zakładu liczy 505.157 zł. reń., biblioteka zawiera 84.000 tomów, co okazuje znaczny przyrost, podobnie jak i w obrazach, monetach, rycinach i rękopismach. Z czytelników zakładu korzystało w ciągu roku 11.758 osób, z biblioteki naukowej 2.456. Prezes Akademii Krakowskiej, Dr. Józef Mayer, uczestniczył w posiedzeniu.

— **Ponowna licytacja Zakopanego** rozpisana będzie, ponieważ w trzeciej, najwyższej już instancji sprzedaż nieprawnie dokonana, ostatecznie została unieważniona.

— **Wystawa naukowa do Kamerunu** w celu badania przyrody krain, położonych pomiędzy Liberyą a ujściem rzeki Ogawe, mająca na czele Dr. Adama Ulanowskiego, asystenta uniwersytetu lwowskiego, syna znanej w literaturze p. Stefani Ulanowskiej, liczy w składzie swoim, oprócz służby, trzynastu Polaków i jednego Niemca.

— **Fundusz składkowy na Akademię Umiejętności** w Pradze wzrasta bardzo szybko od niedawnej tej chwili, gdy pierwszy ofiarodawca i zamiar tego twórcy, Hlawka, złożył na ów cel patriotyczny 200.000 zł. reń. Rada miejska Pragi dała 25.000, Pilzeńska 5.000, Chrudimska 1.000 zł. reń. Hlawka ofiarowuje przytem dom na siedzisko tej instytucji, zawsze przeciwieństwem, aby wzorem dla jej statutu była Akademia Krakowska.

— **Liga narodowa kształcenia ciała** zostało zaprojektowaną we Francji przez prof. Berthélot, a to ze względu na obronę kraju, której sprostać nie mogłaby wkrótce młodzież, stająca się coraz węższą i słabszą.

— **Francja zagrożona** jest w północnych swoich prowincjach zalewem podobnym, jakiemu w wieku XIII uległy Niderlandy. Według obliczeń, prowadzonych przez inżyniera wojskowego od 1884 r., powierzchnia kraju między Marsylją a Lille, więc na przestrzeni 820 kilometrów, opada ciągle na 3 etm. rocznie w kierunku z południa na północ. Zapadanie to jest trzy razy mocniejszym ku północy-wschodowi, niżeli w prostym kierunku z południa na północ.

— **Angielskie czasopismo English Illustrated Magazine** umieści wkrótce opis Krakowa i jego okolic z bogatym dodatkiem rycin. Autorem opisu jest Adam Gielgud.

— **Londyn** zbudowany jest całkowicie na rozległym pokładzie węgla kamiennego, znajdującego się nie głębiej, niż na 1.100 stóp pod miastem.

— **Rocznica odkrycia Ameryki** przypada na rok 1892; postanowiono też w Waszyngtonie urządzić olbrzymią wystawę powszechną, przedstawiającą obraz historii, bogactw, sztuk i przemysłu całego ludu Ameryki.

— **Papież** wystosował do kardynała Lavigerie list w przedmiocie niewolnictwa afrykańskiego i przesłał mu na cel wykupu nieszczęśliwych 30.000 franków.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Katarzyna Regina**, przez Waltera Besant'a.

**TREŚĆ.** Chmura (The Cloud), poezya, przez Ely...y'ego. — **Pogawędka**. — Czytanie rodzinne, II. — Henryka Beecher-Stowe, (Wspomnienie), (dokończenie). — Ze spuścizny olbrzymia, (dalszy ciąg), przez Miriam'a — **Na Krasnym Dworze**, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje** Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Katarzyna Regina**, przez Waltera Besant'a. — Przegląd mód. — 20 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie**. — Dyspozycją stołu

Warszawa. — Druk i Litografia S. Orgelbrandta Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 26 Октября 1888 года.